

ZIEMIE JAŁOWE

STEPHEN
KING



MROCZNA WIEŻA III

STRESZCZENIE

Ziemie jałowe to trzeci tom cyklu zainspirowanego i do pewnego stopnia opartego na poemacie Roberta Browninga *Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął*.

Pierwszy tom, *Roland*, opowiada o tym, jak tytułowy bohater, ostatni rewolwerowiec świata, który poszedł naprzód, ściga i w końcu dopada człowieka w czerni, czarownika imieniem Walter; mężczyzna ten udawał przyjaciela ojca Rolanda w czasach, kiedy jeszcze Świat Pośredni był zjednoczony. Schwytywanie tego półczłowieka i czarownika nie jest jedynym celem Rolanda, lecz zaledwie jednym z kamieni milowych na drodze do potężnej i tajemniczej Mrocznej Wieży, która wznosi się w węzle czasu.

Kim właściwie jest Roland? Jaki był jego świat, zanim poszedł naprzód? Czym jest Wieża i dlaczego jej szuka? Znamy tylko częściowe odpowiedzi na te pytania. Roland jest kimś w rodzaju rycerza, jednym z tych, na których spoczywał obowiązek obrony (lub wskrzeszenia) świata „wypełnionego miłością i światłem”. Jednakże otwartą kwestią pozostaje pytanie, w jakim stopniu wspomnienia Rolanda są odzwierciedleniem dawnego stanu rzeczy.

Wiemy, że jego odwaga została wcześniej wystawiona na próbę. Stało się to wtedy, kiedy odkrył, że matka jest kochanką Martena,

znacznie potężniejszego czarownika niż Walter. Wiemy, że to sam Marten pozwolił Rolandowi odkryć romans matki, spodziewając się, że nie przejdzie przez ciężką próbę i zostanie wygnany „na Zachód”, na pustkowia. I wiemy, że Roland pokrzyżował plany Martena, przetrzymując próbę.

Wiemy również, że świat rewolwerowca jest w jakiś dziwny, nierozzerwalny sposób powiązany z naszym i istnieją okoliczności, w których możliwe jest przejście z jednego świata do drugiego.

W zajeździe przy starym, od dawna nieużywanym trakcie dyliżansów Roland spotyka chłopca imieniem Jake, który umarł w naszym świecie, zepchnięty z chodnika na Manhattanie prosto pod koła jadącego samochodu. Jake Chambers umarł na oczach spoglądającego na niego człowieka w czerni – Waltera – i obudził się w świecie Rolanda.

Zanim wraz z rewolwerowcem zdołali dopaść człowieka w czerni, Jake umiera ponownie... tym razem dlatego, że Roland, zmuszony do podjęcia kolejnej – drugiej – trudnej i bolesnej decyzji, postanawia poświęcić przybranego syna. Mając wybór między Wieżą a dzieckiem, Roland wybiera Wieżę. Ostatnie słowa, które wypowiedział Jake do rewolwerowca, nim runął w otchłań, brzmiały: „Więc idź. Są światy inne niż ten”.

Do ostatecznej rozgrywki między Rolandem a Walterem dochodzi wśród stert murszejących kości. Człowiek w czerni przepowiada Rolandowi przyszłość za pomocą kart tarota. Odkrywa dla niego trzy niezwykle karty: Więźnia, Władczynię Mroku i Śmierć („lecz jeszcze nie dla ciebie, rewolwerowcze”).

Drugi tom, *Powołanie Trójki*, zaczyna się na brzegu Morza Zachodniego, niedługo po rozstrzygającym spotkaniu Rolanda z Walterem. Wyczerpany rewolwerowiec budzi się w środku nocy i spostrzega, że przypływ wyrzucił na brzeg horde żarłocznych, drapieżnych stworów – homarokoszmarów. Zanim zdoła uciec tym nabrzeżnym stworzeniom, Roland zostaje przez nie poważnie okaleczony – traci dwa palce prawej ręki. Jad stworów zatrucha jego krew i kiedy rewolwerowiec rusza dalej na północ brzegiem Morza

Zachodniego, jest ciężko chory... możliwe, że nawet umierający.

Napotyka drzwi stojące na środku plaży. Wszystkie drzwi wiodą – Rolanda i tylko jego – do naszego świata, a ściślej mówiąc do miasta, w którym żył Jake. Roland odwiedza Nowy Jork w trzech punktach naszego „kontinuum” czasowego, próbując zarówno ratować życie, jak i zebrać trzyosobowy zespół, który będzie mu towarzyszyć w drodze do Wieży.

Eddie Dean jest Więźniem, uzależnionym od heroiny nowojorskim narkomanem z końca lat osiemdziesiątych. Roland przechodzi przez drzwi na plaży w swoim świecie i wnika do umysłu Eddiego, gdy ten znajduje się w samolocie, przewożąc kokainę dla niejakiego Enrica Balazara, tuż przed lądowaniem na lotnisku Kennedy’ego. W trakcie wielu niebezpiecznych przygód Rolandowi udaje się zdobyć niewielką ilość penicyliny i sprowadzić Eddiego Deana do swojego świata. Narkoman, odkrywszy, że został uprowadzony tam, gdzie nie ma narkotyków (ani smażonych kurczaków Popeye’a, skoro o tym mowa), nie jest tym wcale zachwycony.

Drugie drzwi prowadzą Rolanda do Władczyni Mroku – a właściwie dwóch kobiet zamieszkujących jedno ciało. Tym razem Roland ląduje w Nowym Jorku z początków lat sześćdziesiątych i staje twarzą w twarz z młodą, przykutą do fotela inwalidzkiego obrończynią praw człowieka, Odetta Holmes. W jej ciele jednak kryje się też podstępna i ziejąca nienawiścią Detta Walker. Roland sprowadza tę cierpiącą na rozdwojenie osobowości kobietę do swojego świata, co ma niezwykle groźne następstwa dla Eddiego i szybko słabnącego rewolwerowca. Odetta sądzi, że to, co się z nią dzieje, jest snem lub złudzeniem, natomiast Detta – zdradzająca wyraźną skłonność do nadużywania przemocy – ze wszystkich sił stara się zabić Rolanda i Eddiego, których uważa za dręczących ją białych diabłów.

Jack Mort, seryjny morderca kryjący się za trzecimi drzwiami (do Nowego Jorku połowy lat siedemdziesiątych), jest Śmiercią. Mort dwukrotnie spowodował ogromne zmiany w życiu Odetty Holmes/Detty Walker, chociaż żadna z nich o tym nie wie. Mort, który zwykł

wpychać swoje ofiary pod koła pojazdów lub zrzucać na nie jakieś ciężkie przedmioty, w trakcie swych zbrodniczych (lecz jakże ostrożnych) działań, dwukrotnie atakował Odettę. Kiedy była dzieckiem, zrzucił jej cegłę na głowę, powodując długotrwałą zapaść i narodziny Detty Walker, drugiej osobowości Odetty. Po latach, w 1959 roku, Mort ponownie napotyka Odettę i popycha ją pod koła nadjeżdżającego metra w Greenwich Village. Odetta i tym razem uchodzi z życiem, ale płaci za to straszliwą cenę: traci obie nogi na wysokości kolan. Dzięki heroicznym wysiłkom młodego lekarza, który przybył na miejsce wypadku (a także, być może, na skutek nieprzyjemnego, lecz twardego charakteru Detty Walker), pozostaje przy życiu... a przynajmniej tak się wydaje. Zdaniem Rolanda ten splot zdarzeń nie jest tylko zbiegiem okoliczności, ale świadczy o ingerencji siły wyższej. Rewolwerowiec uważa, że ogromne moce otaczające Mroczną Wieżę znów zaczynają gromadzić się wokół niej.

Roland dowiaduje się, że Mort może być również kluczem do innej zagadki, będącej potencjalnie niebezpiecznym dla zdrowych zmysłów paradoksem; w chwili gdy rewolwerowiec wkracza w jego życie, Jack Mort usiłuje zabić Jake'a – chłopca, którego Roland spotkał w zajeździe i stracił u podnóża gór. Rewolwerowiec nigdy nie miał żadnego powodu, by wątpić w relację Jake'a o jego śmierci w naszym świecie lub kwestionować tożsamość mordercy – którym był oczywiście Walter. Jake widział go przebranego za księdza w tłumie cisnącym się wokół miejsca, gdzie leżał, konając, a Roland nigdy nie powątpiewał w prawdziwość słów chłopca.

I nie wątpi w nie teraz. Walter był tam, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. *Zalóżmy jednak, że to Jack Mort, a nie Walter, wepchnął Jake'a pod koła nadjeżdżającego cadillaca.* Czy to możliwe? Roland nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie, ale gdyby tak było, to gdzie teraz jest Jake? Martwy? Żywy? Schwytany w potrzask czasu? A jeśli Jake Chambers wciąż żyje i cieszy się dobrym zdrowiem w swoim własnym świecie, na Manhattanie w połowie lat siedemdziesiątych, *to w jaki sposób Roland może go pamiętać?*

Mimo tak niepokojącego i niebezpiecznego rozwoju wydarzeń Rolandowi udaje się pomyślnie przejść przez drzwi – i zebrać Trójkę. Eddie Dean akceptuje swoje przenosiny do świata rewolwerowca, ponieważ zakochał się we Władczyni Mroku. Detta Walker i Odetta Holmes stapiają się w jedną osobowość łączącą cechy Detty i Odetty, kiedy rewolwerowcowi udaje się zmusić obie jaźnie, by wzajemnie zaakceptowały swoje istnienie. Powstała osobowość jest w stanie przyjąć i odwzajemnić miłość Eddiego. W ten sposób Odetta Susannah Holmes i Detta Susannah Walker stają się nową, trzecią kobietą – Susannah Dean.

Jack Mort ginie pod kołami tego samego składu metra – słynnego „A-train” – który przed piętnastoma czy szesnastoma laty obciął nogi Odette. Jego śmierć to niewielka strata.

I po raz pierwszy od wielu lat Roland z Gilead nie jest samotny w swej drodze do Mrocznej Wieży. Cuthberta i Alaina, jego utraconych towarzyszy z czasów młodości, zastąpili Eddie i Susannah... a jednak towarzystwo rewolwerowca często okazuje się niezdrowe dla jego przyjaciół. Bardzo niezdrowe.

Tom *Ziemie jałowe* opisuje losy tych trojga pielgrzymów w Świecie Pośrednim kilka miesięcy po wydarzeniach przy ostatnich drzwiach na plaży. Przeszli spory kawał drogi w głąb lądu. Kończy się dla nich okres odpoczynku i zaczyna czas nauki. Susannah uczy się strzelać, Eddie znowu zaczyna rzeźbić... a rewolwerowiec dowiaduje się, jak to jest, kiedy powoli wychodzi się z siebie.

(Jeszcze jedna uwaga: moi nowojorscy czytelnicy zorientują się, że w opisach miasta pozwoliłem sobie na pewne geograficzne odstępstwa od rzeczywistości. Mam nadzieję, że mi to wybaczą).

Rozdział 1

NIEDŹWIEDŹ I KOŚĆ

1

Po raz trzeci strzelała ostrą amunicją... ale po raz pierwszy wyciągała broń z kabury, którą dał jej Roland.

Mieli mnóstwo ostrej amunicji, gdyż Roland przeniósł ponad dwieście nabojów ze świata, w którym Eddie i Susannah Dean żyli, zanim zostali powołani. Spory zapas amunicji wcale nie oznaczał, że należało ją marnować – prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. Bogowie niechętnym okiem spoglądali na marnotrawców. Najpierw ojciec, a potem Cort – jego najlepszy nauczyciel – wpoili ten pogląd Rolandowi, który w dalszym ciągu w to wierzył. Bogowie może nie od razu ukarzą winowajcę, lecz prędzej czy później trzeba będzie za to zapłacić, a im później, tym drożej.

Poza tym z początku nie musieli używać ostrej amunicji. Roland strzelał od tak dawna, że ta piękna, brązowoskóra kobieta w fotelu inwalidzkim nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Z początku kazał jej tylko celować do rozmaitych przedmiotów. Uczyla się szybko. Zarówno ona, jak i Eddie szybko się uczyli.

I tak jak podejrzewał, oboje byli urodzonymi rewolwerowcami.

Dziś Roland i Susannah przyszli na polankę w lesie, milę od obozu, który rozbili tu już prawie dwa miesiące temu. Dni miały przyjemnie, monotonnie. Rany rewolwerowca zagoiły się, a Eddie

i Susannah uczyli się tego, czego musiał ich nauczyć: jak strzelać, polować, patroszyć i oczyszczać zdobycz, jak rozpinać, farbować i garbować skóry zwierząt, jak wykorzystywać upolowane zwierzęta tak, żeby nic się nie marnowało, jak odnaleźć północ na podstawie położenia Starej Gwiazdy lub południe według Starej Matki, jak słuchać odgłosów lasu, w którym się znaleźli, sto lub więcej mil na północny wschód od Morza Zachodniego. Dzisiaj Eddie został w obozie, lecz to wcale nie przeszkadzało rewolwerowcowi. Wiedział, że najdłużej pamięta się to, czego nauczyło się samemu.

A jednak najważniejszą umiejętnością wciąż było to samo: umiejętność strzelania i trafiania w cel. Zabijania.

Na skraju polanki rosły ciemne, słodko pachnące świerki, otaczające ją nierównym półokręgiem. Po południowej stronie znajdowało się urwisko opadające stustopową ścianą kruchych, piarzystych półek skalnych i poszarpanych głazów – niczym gigantyczne schody. Czysty strumień wypływał z lasu i przecinał środek polany, najpierw bulgocząc w głębokim korycie gąbczastej ziemi i kruchego kamienia, a potem ciurkając po kamienistym zboczu, schodzącym w kierunku krawędzi ściany.

Woda spływała po stopniach szeregiem wodospadów, nad którymi unosiły się śliczne, migotliwe tęcz. Poza urwiskiem rozpościerała się wspaniała głęboka dolina, też porośnięta świerkami i nielicznymi wielkimi wiazami, które nie dały się z niej wyrugować. Te ostatnie wznosiły swe olbrzymie korony, zielone i gęste, być może sędziwe już wtedy, kiedy ziemia, z której przybył Roland, była jeszcze młoda. Nie dostrzegł żadnych śladów świadczących o tym, że kiedykolwiek przeszedł tędy pożar, choć zapewne od czasu do czasu wysokie drzewa musiały ściągać pioruny. A te nie były jedynym zagrożeniem dla drzew. W odległej przeszłości w tym lesie zamieszkiwali jacyś ludzie. W ciągu kilku minionych tygodni Roland kilkakrotnie napotkał ślady ich obecności. Przeważnie były to resztki prymitywnych wyrobów, lecz należały do nich skorupy naczyń, które niewątpliwie wypalano w ogniu. Ten zaś jest złośliwym

żywiółem, który lubi wymykać się z rąk tych, co go skrzესili.

Nad tą malowniczą scenerią wznosiła się kopuła bezchmurnego błękitu nieba, po którym kilka mil dalej krążyło stado wron wrzeszczących zardzewiałymi, ochrypłymi głosami. Wyglądały na zaniepokojone, jakby nadciągała burza, ale kiedy Roland wciągnął w nozdrza powietrze, nie wyczuł zapachu deszczu.

Na lewo od strumienia leżał spory głaz. Roland ułożył na nim sześć kamyków. Każdy z nich był gęsto usiany plamkami miki i w ciepłym blasku popołudnia lśniły jak soczewki.

– Masz jeszcze szansę – rzekł rewolwerowiec. – Jeśli pas z kaburą jest nieporęczny choć trochę, powiedz mi o tym teraz. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie amunicji.

Sardonicznie mrugnęła do niego i przez moment ujrzał dawną Dettę Walker. Jakby mglisty słoneczny blask odbił się od stalowej sztaby.

– A co byś zrobił, gdyby była nieporęczna, a ja bym nie powiedziała ci o tym? Gdybym nie trafiła w żaden z tych sześciu parszywych kamyków? Walnąłbyś mnie w łeb, tak jak robił to ten twój nauczyciel?

Rewolwerowiec się uśmiechnął. Przez pięć ostatnich tygodni uśmiechał się częściej niż w ciągu pięciu poprzedzających je lat.

– Nie zrobiłbym tego i dobrze o tym wiesz. Po pierwsze, byliśmy wtedy dziećmi... chłopcami, którzy jeszcze nie stali się mężczyznami. Można dać klapsa nieposłusznemu dziecku, ale...

– W moim świecie bicie dzieci nie jest aprobowane w rodzinach należących do lepszego towarzystwa – powiedziała sucho Susannah.

Roland wzruszył ramionami. Trudno wyobrazić sobie taki świat. Czyż Wielka Księga nie głosiła: „Nie żałuj wierzbowej witki, by nie zepsuć dziecka”? Mimo to nie podejrzewał, że Susannah może go okłamywać.

– Twój świat nie poszedł naprzód – odparł. – Tutaj wiele spraw wygląda inaczej. Czyż sam tego nie widziałem?

– Pewnie widziałeś.

– W każdym razie ty i Eddie nie jesteście dziećmi. Nie mogę traktować was tak, jakbyście nimi byli. Gdyby nawet trzeba było to udowadniać, oboje przeszłiscie wszystkie próby.

Chociaż tego nie powiedział, myślał o tamtej chwili na plaży, kiedy rozwalila na kawałki trzy atakujące homarokoszmary, zanim zdołały ogryźć jego i Eddiego do kości. Ujrzał uśmiech na jej twarzy i pomyślał, że pewnie też sobie to przypomniała.

– Zatem co zrobisz, jeśli spieprzę to strzelanie?

– Popatrzę na ciebie. Sądzę, że nie będę musiał robić nic więcej. Zastanowiła się, a potem kiwnęła głową.

– Może być.

Ponownie sprawdziła pas. Przecinał na ukos jej pierś (Rolandowi przypominał szelki dokera) i wyglądał zupełnie niepozornie, ale sporządzenie go wiązało się z licznymi próbami, błędami oraz poprawkami, zanim uzyskał odpowiedni kształt. Pas i rewolwer, którego rękojeść ze zniszczonego drewna sandałowego sterczała z naoliwionej starej kabury, kiedyś należały do rewolwerowca. Olstro wisiało na jego prawym biodrze. Przez znaczną część minionych pięciu tygodni godził się z myślą, że już nigdy nie będzie tam wisieć. Dzięki staraniom homarokoszmarów był teraz leworęcznym rewolwerowcem.

– No, to jak jest? – zapytał ponownie.

Tym razem parsknęła śmiechem.

– Rolandzie, ta stara kabura jest tak poręczna, że bardziej już nie może być. A teraz mam strzelać, czy też chcesz siedzieć tu przez cały dzień i słuchać wrzasku wron?

Czuł napięcie pod skórą i podejrzewał, że podobne uczucie skrywał w takich chwilach pod szorstkim zachowaniem Cort. Chciał, żeby była dobra... Potrzebował tego. Gdyby jednak okazał jej, jak bardzo jest mu potrzebna, mogłoby to mieć katastrofalne skutki.

– Powtórz mi jeszcze raz ostatnią lekcję, Susannah. I postaraj się.

Westchnęła z udawanym zniecierpliwieniem, a kiedy przemówiła,

uśmiech zgasł, ciemna i piękna twarz przybrała poważny wyraz. Z ust popłynęły słowa dawnej nauki, odmłodzone przez jej głos. Nigdy nie przypuszczał, że usłyszy te słowa z ust kobiety. Jakże naturalnie brzmiały... a zarazem jak dziwnie i groźnie.

– Nie będę celowała ręką, gdyż kto celuje ręką, ten zapomniał oblicza swego ojca. Będę celowała okiem. Nie będę strzelała ręką, gdyż kto strzela ręką, ten zapomniał oblicza swego ojca. Będę strzelała umysłem. Nie będę zabijała bronią, gdyż... – Przerwała w pół słowa i wycelowała w błyszczące od miki kamienie na głazie. – I tak nie zabiję niczego oprócz tych parszywych kamyczków.

Jej mina – trochę nachmurzona, a trochę łobuzerska – świadczyła o tym, że spodziewała się bury, a może nawet gniewu Rolanda. Ten jednak też kiedyś był na jej miejscu i nie zapomniał, iż początkujący rewolwerowcy bywają niepewni i aroganccy, nerwowi i skłonni do nieprzemyślanych działań... A poza tym odkrył w sobie nieoczekiwaną umiejętność. Potrafił uczyć. Co więcej, lubił uczyć i od czasu do czasu się zastanawiał, czy tak samo było z Cortem. Podejrzewał, że tak.

Wrony zaczęły wrzeszczeć jeszcze głośniejsze, gdyż do chóru przyłączyły się te, które siedziały w lesie za ich plecami. Jakaś część umysłu Rolanda uchwyciła fakt, że okrzyki były teraz zaniepokojone, a nie tylko kłótlive. Wrony krakały tak, jakby coś je spłoszyło i odgoniło od łupu, którym się posilały. On jednak miał ważniejsze rzeczy do zrobienia niż zastanawianie się nad tym, co spłoszyło stado wron. Tak więc odnotował ten fakt w pamięci i ponownie skoncentrował się na Susannah. Nieuwaga w obecności ucznia mogła sprowokować następną, mniej żartobliwą kpinę. I kogo należałoby za to winić? Kogo, jak nie nauczyciela? Bo czyż sam jej tego nie nauczył? Czyż nie nauczył ich obojga? Czy nie do tego sprowadzał się sens bycia rewolwerowcem, jeśli odrzucić kilka sztywnych rytuałów i obalić parę żelaznych reguł? Czy on i ona nie byli tylko parą sokołów wyćwiczonych do ataków na rozkaz?

– Nie – rzekł. – To nie są kamienie.

Lekko uniosła brwi i znów się zaczęła uśmiechać. Teraz, kiedy nabrała pewności, że nie wybuchnie gniewem (przynajmniej na razie), jak to często się zdarzało, gdy była opieszala lub niesforna, w jej oczach znowu pojawił się stalowy, drwiący błysk, który rewolwerowiec kojarzył z Detlą Walker.

– Nie? Nie są?

Kpina w jej głosie była dobroniuszna, ale wiedział, że w razie potrzeby może stać się złośliwa. Dziewczyna wydawała się spięta, pobudzona i już wysuwała pazurki.

– Nie, nie są – powiedział, odpowiadając drwiną na kpinę. Na jego usta powrócił uśmiech, ale surowy i pozbawiony wesołości. – Susannah, czy pamiętasz *pieprzonych skurwielu*?

Jej uśmiech przysnął.

– Tych *pieprzonych skurwielu* z Oxford Town?

Teraz uśmiech całkiem znikł.

– Czy pamiętasz, co ci *pieprzeni skurwiele* zrobili tobie i twoim przyjaciółkom?

– To nie byłem ja – odparła. – To była inna kobieta.

Jej oczy miały tępy, ponury wyraz. Nienawidził go, lecz także podziwiał. To było *właściwe* spojrzenie, świadczące o tym, że żar wciąż się tli i wkrótce buchnie żywym płomieniem.

– Owszem. Tak było. Czy ci się to podoba, czy nie, to była Odetta Susannah Holmes, córka Sarah Walker Holmes. Nie ty taka, jaką jesteś, lecz jaką byłaś. Pamiętasz węże od hydrantu? Pamiętasz złote zęby, które widziałas, kiedy polewali z nich ciebie i twoich przyjaciół w Oxford Town? Jak błyszczały, kiedy się śmiali?

Powiedziała im o tym i o wielu innych sprawach podczas długich nocy przy obozowym ognisku. Rewolwerowiec nie rozumiał wszystkiego, ale mimo to uważnie słuchał. I zapamiętał. Mimo wszystko ból jest narzędziem. Czasem najlepszym.

– Co się z tobą dzieje, Rolandzie? Dlaczego przypominasz mi o tych okropnościach?

Teraz w jej pochmurnych oczach pojawił się groźny błysk.

Przypominały mu oczy Alaina, gdy ktoś zdołał rozżłóścić zwykle dobrodusznego rewolwerowca.

– Te kamienie to tamci ludzie – rzekł cicho Roland. – Ludzie, którzy zamknęli cię w celi i zostawili, żebyś się posikała. Ludzie z pałkami i psami. Ci mężczyźni, którzy nazywali cię czarną cipą. – Wskazał je, powoli przesuwając palec od lewej do prawej. – To ten, który uszczypnął cię w pierś i śmiał się. A tam jest ten, który powiedział, że lepiej sprawdzić, czy nie schowałaś czegoś w odbycie. To ten, który nazwał cię szympanśicą w sukience za pięćset dolarów. Tamten stukał pałką o szprychy koła twojego wózka, aż ten dźwięk o mało nie doprowadził cię do szaleństwa. A tamten to mężczyzna, który nazwał twojego przyjaciela Leo parszywym pedziem. Ostatni zaś, Susannah, to Jack Mort. Tak. Te kamienie. To ci ludzie.

Teraz oddychała z wysiłkiem. Jej pierś unosiła się i opadała spazmatycznie pod pasem rewolwerowca, ciężkim od nabojów. Oderwała wzrok od Rolanda i spoglądała na kamienie usiane plamkami miki. W lesie za ich plecami jakieś drzewo złamało się i upadło. Wrony na niebie zaczęły wrzeszczeć jeszcze głośniejsze. Pograżeni w grze, która przestała już być grą, nie zwrócili na to uwagi.

– Ach tak? – prychnęła. – Tak twierdzisz?

– Twierdzę. A teraz powtórz lekcję, Susannah Dean, i to dokładnie.

Tym razem słowa padały jak kawałki lodu z jej ust. Prawa dłoń lekko drżała na poręczy fotela, jak silnik na jałowym biegu.

– Nie będę celowała ręką, gdyż kto celuje ręką, ten zapomniał oblicza swego ojca. Będę celowała okiem.

– Dobrze.

– Nie będę strzelała ręką, gdyż kto strzela ręką, ten zapomniał oblicza swego ojca. Będę strzelała umysłem.

– Niech więc tak będzie, Susannah Dean.

– Nie będę zabijała bronią, gdyż kto zabija bronią, ten zapomniał

oblicza swego ojca. Będę zabijała sercem.

– A więc zabij ich, na pamięć twego ojca! – ryknął Roland. – Zabij wszystkich!

Prawa dłoń Susannah błyskawicznie oderwała się od poręczy fotela i chwyciła za rękojeść rewolweru Rolanda. Wyrwała broń z kabury i grzbietem lewej dłoni kilkakrotnie odwiodła kurek, uderzeniami tak szybkimi i delikatnymi jak trzepot skrzydeł kolibra. Sześć suchych strzałów przeleciało echem po dolinie i pięć z sześciu kamieni zniknęło z głazu.

Przez chwilę oboje milczeli – chyba w ogóle nie oddychali – gdy echo strzałów przetaczało się i cichło w oddali. Nawet wrony zamilkły, przynajmniej w tym momencie. Rewolwerowiec przerwał ciszę zaledwie czterosylabowym, lecz pełnym zrozumienia zdaniem:

– Bardzo dobrze.

Susannah spojrzała na broń w swojej ręce, jak gdyby nigdy przedtem jej nie widziała. Smużka dymu unosiła się z lufy, idealnie prosto w nieruchomym powietrzu. Potem, powoli, schowała broń do kabury.

– Dobrze, ale nie doskonale – powiedziała w końcu. – Jednego nie trafiłam.

– Naprawdę?

Podszedł do głazu i podniósł leżący na nim kamień. Obejrzał go i rzucił kobiecie.

Z aprobatą zauważył, że złapała go lewą ręką, prawą trzymając w pobliżu kabury z rewolwerem. Strzelała lepiej i szybciej od Eddiego, lecz tej lekcji nie nauczyła się tak szybko jak on. Może przyszłoby jej to łatwiej, gdyby wzięła udział w strzelaninie w nocnym klubie Balazara. Teraz Roland miał pewność, że nauczyła się i tego. Spojrzała na kamień i na jego górnej krawędzi zobaczyła płytką ryse.

– Ledwie go drasnąłeś – rzekł Roland, wróciwszy do niej – lecz podczas walki to czasem zupełnie wystarcza. Jeśli zranisz przeciwnika, nie zdoła wycelować... – Urwał. – Dlaczego tak na

mnie patrzysz?

– Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

– Nie. Nie umiem czytać w twoich myślach, Susannah.

W jego głosie nie było cienia skruchy i Susannah ze zniechęceniem potrząsnęła głową. Te gwałtowne zmiany jej osobowości czasem irytowały go tak samo, jak ją drażniła niezdolność Rolanda do oględnego formułowania myśli. Był najbardziej bezpośrednim człowiekiem, jakiego znała.

– W porządku – odparła. – Powiem ci, dlaczego tak na ciebie patrzę, Rolandzie. Ponieważ to, co zrobiłeś, było paskudne. Powiedziałeś, że nie uderzyłbyś mnie, nie mógłbyś mnie uderzyć, gdybym nawet bardzo cię zawiodła.... Albo skłamałeś, albo jesteś bardzo głupi, a wiem, że nie jesteś głupcem. Ludzie nie zawsze uderzają rękami, o czym może zaświadczyć każda kobieta i mężczyzna mojej rasy. Tam, skąd pochodzę, mamy taki wierszyk: „Mów choć do woli...”.

– ...od słów nie boli – dokończył Roland.

– No, ujmujemy to trochę inaczej, ale sędzę, że sens jest chyba ten sam. Obojętnie jak się to powie, to i tak gówno prawda. Nie na darmo to, co przed chwilą zrobiłeś, nazywają słowną chłostą. Twoje słowa zraniły mnie, Rolandzie. Zamierzasz tu stać i twierdzić, że o tym nie wiedziałeś?

Siedziała na fotelu inwalidzkim, patrząc na niego z chłodnym zaciekawieniem, i Roland pomyślał – nie po raz pierwszy – że *pieprzeni skurwiele* z jej krainy musieli być bardzo odważni lub bardzo głupi, jeśli ją prowokowali... na fotelu inwalidzkim czy nie. A sądząc po tym, co widział, raczej nie był to z ich strony przejaw odwagi.

– Nie myślałem o twoich zranionych uczuciach i nie przejmowałem się nimi – rzekł cierpliwie. – Zobaczyłem, że szczerzysz zęby i zamierzasz ugryźć, więc wsunąłem między nie patyk. I podziało... prawda?

Teraz spojrzała na niego z urazą i zdumieniem.

– Ty draniu!

Nie odpowiadając, wyjął broń z jej kabury, dwoma palcami prawej dłoni otworzył bębenek i lewą ręką zaczął ponownie ładować rewolwer.

– Ze wszystkich nadętych, aroganckich...

– Musiałś ugryźć – rzekł tym samym cierpliwym tonem. – W przeciwnym razie strzelałabyś źle... dłonią i bronią zamiast okiem, umysłem i sercem. Czy to był podstęp? Czy byłem arogancki? Nie sądzę. Myślę, Susannah, że to ty w głębi serca byłaś aroganka. Przypuszczam, że byłaś gotowa uciec się do podstępu. To mnie nie martwi. Wprost przeciwnie. Rewolwerowiec bez zębów to nie rewolwerowiec.

– Niech to szlag, nie jestem rewolwerowcem!

Zignorował te słowa – mógł sobie na to pozwolić. Jeśli ona nie była rewolwerowcem, to on był puszką z kawą.

– Gdyby to była gra, może postąpiłbym inaczej. Lecz to nie zabawa. To...

Na moment przyłożył zdrową dłoń do czoła i przytrzymał lekko drżące palce tuż nad lewą skronią. Dostrzegła to drżenie.

– Rolandzie, co ci dolega? – spytała spokojnie.

Powoli opuścił rękę. Zamknął bębenek i z powrotem wsunął rewolwer do jej kabury.

– Nic.

– A jednak. Widziałam. Eddie też to zauważył. Zaczęło się, gdy tylko zeszliśmy z plaży. Coś ci dolega, i to coraz bardziej.

– Nic mi nie jest – powtórzył.

Wyciągnęła ręce i ujęła jego dłoń. Zapomniała o gniewie, przynajmniej na chwilę. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Eddie i ja... To nie jest nasz świat, Rolandzie. Bez ciebie byśmy tutaj zginęli. Mielibyśmy twoją broń i moglibyśmy z niej strzelać, gdyż tego dobrze nas nauczyłeś, a mimo to byśmy zginęli. My... potrzebujemy cię. Dlatego powiedz mi, co ci jest. Pozwól, żebym spróbowała ci pomóc. Pozwól, żebyśmy oboje spróbowali

ci pomóc.

Nigdy głęboko nie zastanawiał się nad sobą i swoim postępowaniem. Koncepcja samoświadomości (czy psychoanalizy) była mu obca. On działał – błyskawicznie sprawdzał możliwości, podejmował decyzję i działał. Z nich wszystkich on był najdoskonalszy – człowiek o niezwykle romantycznej duszy zamkniętej w prymitywnej otoczce instynktu i pragmatyzmu. Teraz też błyskawicznie ocenił sytuację i postanowił powiedzieć Susannah prawdę. Och, tak, coś mu dolegało. Istotnie. Coś było nie tak z jego głową. To tak proste jak jego drogi i równie niezwykle jak dziwne życie wędrowca, na jakie został skazany.

Otworzył usta, by rzec: „Powiem ci, co mi jest, Susannah, i powiem to tylko dwoma słowami. Tracę zmysły”. Lecz zanim zdążył zacząć, w lesie runęło kolejne drzewo – z głośnym, przeciągłym trzaskiem. To upadło bliżej i tym razem nie byli tak głęboko zaabsorbowani próbą sił, w postaci lekcji strzelania. Oboje usłyszeli trzask, a później nerwowy wrzask wron, i oboje zdali sobie sprawę z tego, że to drzewo runęło w pobliżu ich obozu.

Susannah patrzyła w kierunku miejsca, skąd dobiegł ten dźwięk, ale teraz spojrzała na rewolwerowca szeroko otwartymi i zaniepokojonymi oczami.

– Eddie – powiedziała.

W głębi zielonej gęstwiny za ich plecami rozległ się donośny ryk – przeciągły ryk wściekłości. Runęło następne drzewo i jeszcze jedno. Padały z odgłosami przypominającymi wybuchy granatów móżdżerzowych. *Suche drewno* – pomyślał rewolwerowiec. *Uschnięte drzewa.*

– Eddie! – tym razem krzyknęła. – Cokolwiek to jest, idzie do Eddiego!

Złapała za koła i zaczęła mozolnie obracać fotel.

– Nie ma na to czasu.

Roland chwycił ją pod pachy i podniósł z fotela. Już nieraz ją niósł – na zmianę z Eddiem – kiedy teren był zbyt trudny, aby